

Krzysztof Bieńkowski

Jak Boy-Żeleński opuścił Warszawę? : (fragment wspomnień)

Palestra 17/7-8(187-188), 79-83

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jak Boy-Żeleński opuścił Warszawę?

(Fragment wspomnień)

Autor wspomnienia był w chwili wybuchu wojny prokuratorem Sądu Najwyższego, p.o. dyrektora Departamentu Ustawodawczego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wspomnienie to jest fragmentem historii ewakuacji Ministerstwa i poprzedzających ją przygotowań ustawodawczych do mobilizacji i wojny.

Boy-Żeleński — powtarza za Kołaczkowskim Tadeusz Breza * — był tym, który po Żeromskim przejął rząd dusz nad postępową inteligencją polską. Jego działalność publicystyczna stanowiła cel zaciekłych ataków ze strony tak bardzo nienawidzącego go polskiego wstecznictwa. Brukowe pisma takiej właśnie maści oskarżały go o torowanie dróg „żydokomunie” i wszelakim rozkładowym prądom. „Wielopalczysta ręka reakcji — pisze Breza * — od dawna zagięła sobie na niego parol”.

Dlatego był Boy bardziej niż inni zagrożony śmiercią z rąk hitlerowskich oprawców. Toteż gdy w nocy z 4 na 5 września 1939 r. zarządzone nagle ewakuację urzędów centralnych w Warszawie, gdy poleceniem wyjazdu objęto nawet najdrobniejszych urzędników, gdy setki aut różnych notabli, wyładowanych po „burty” ich osobistym bagażem, sunęły po arteriach Warszawy, wydawałoby się, że ktoś z „możnych” zatroszczy się o los Boya i zapewni mu wyjazd w możliwie wygodnych warunkach. Tymczasem gdyby bratanek Boya, ówczesny wiceprokurator Sądu Apelacyjnego Władysław Żeleński, nie podjął na własną rękę akcji, aby wywieźć Boya wraz z żoną, pozostałby on w Warszawie. Tylko przypadek zrzucił, że w ostatniej chwili zdążył on na pociąg Ministerstwa Sprawiedliwości, który wywoził zarówno akta tego urzędu, jak i jego urzędników do nowego miejsca przeznaczenia.

Władysław Żeleński miał nadzieję, że umieści Boya wraz z żoną, Zofią, w którymś z kilku samochodów, które wyjeżdżały z Ministerstwa. Ostatecznie ówczesny prokurator, a dziś adwokat Olgierd Missuna znalazł jedno miejsce w swym prywatnym aucie dla pani Zofii. Boy pozostał sam wraz z bagażem w swym mieszkaniu przy Krakowskim Przedmieściu.

W tej sytuacji zwrócił się do mnie Władysław Żeleński z prośbą o pomoc. Sam nie mógł się zająć Boyem ze względu na liczne zlecenia służbowe, jakie miał poruczone.

Spojrzałem na zegarek. Pociąg ewakuacyjny Ministerstwa, którym

* Tadeusz Breza: Nelly, Czytelnik 1972, str. 318 i 325.

powiniennem się zaopiekować, jako najstarszy w nim rangą urzędnik, miał odejść według planu lada chwila. Sam właśnie rozpaczliwie szukałem dla siebie środka lokomocji, aby się dostać na Dworzec Wschodni. Tramwaje nie kursowały wobec częstych nalotów na stolicę; taksówki dosłownie wymiotło z ulic. A Boya nie mogłem zostawić w Warszawie choćby ze względu na wieloletnią przyjaźń, jaka łączyła mnie z domem Żeleńskich jeszcze od czasów studenckich. Byłem zresztą, jeśli chodzi o moje własne bezpieczeństwo, w podobnym położeniu co Boy. Występowanie w apelacji pomorskiej w licznych procesach szpiegowskich nie rokowało mi — w razie zajęcia Warszawy przez Niemców — szans przeżycia nawet kilku dni.

Nie było rady. Należało ryzykować, że w ogólnym nieładzie, jaki panował na przeciążonych i bombardowanych liniach kolejowych, pociąg nasz odejdzie z opóźnieniem.

Na szczęście udało mi się zatrzymać — nie bez oporu kierowcy — karetkę więzienną, zwaną w żargonie przestępczym „suką”, która dowiozła do Ministerstwa więźniów pomagających przy pakowaniu i ewakuacji akt. „Suką” tą zajechałem przed dom, gdzie mieszkali Żeleńscy. Boy siedział w fotelu zasępiiony. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Pierwsze jego pytanie było: „Co z Fusią?”. Tak bowiem nazywaliśmy panią Zofię. Odpowiedziałem, że już opuściła Warszawę, i przeprosiłem za środek lokomocji, którym go odwiozę na dworzec. Gdy zbliżyliśmy się do ówczesnego mostu Kierbedzia, wrogie samoloty rozpoczęły właśnie obsypywać go bombami. Na szczęście bomby padały niecelnie i tylko gejzery wody oplukiwały z obu stron filary i jezdnię mostu.

Zdenerwowany nieprzewidzianym postojem, który groził nam odejściem pociągu sprzed nosa, prosiłem kierowcę, aby przejechał most szybko między jedną a drugą falą nalotu. Odmówił i nagle zniknął z kabiny, szukając dla siebie jakiegoś schronu. Zaproponowałem Boyowi, abyśmy również zeszli z trasy samolotów, na której jako jedyny pozostał tuż przed mostem nasz pojazd. Okazało się jednak, że drzwi karetki więziennej można było otworzyć tylko z zewnątrz. Siedzieliśmy więc tak, uwięzieni w ponurym pudle, nie widząc, co się dzieje, i wsłuchując się jedynie w odgłosy wybuchów.

Boy, zawsze małomówny, a obecnie wyjątkowo milczący i pogrążony w sobie, odzywa się nagle:

— Najwybitniejszy pisarz polski i czołowy prokurator, zamknięci razem w karetkce więziennej bez wyjścia — toż to symbol losu, który przypadł Polsce...

Słowa te do tej chwili dźwięczą mi w uszach. Boy, tak skromny w życiu codziennym, nigdy nie podkreślał swojej rangi pisarskiej, nawet w najbardziej osobistych ze mną rozmowach. Tym razem był to wybuch samowidzy wobec sytuacji, w jakiej się znalazł on sam wraz z całą Polską. Psycholog powiedziałaby: kompensacyjny kompleks wyższości.

Ostatecznie dotarliśmy do Dworca Wschodniego, który wyglądał posępnie, ile że dnia poprzedniego bomby obróciły w gruzy całe jego lewe skrzydło. Ofiarami nalotu padło m. in. kilka młodych harcerek, obsługujących ochotniczo pociągi przewożące wojsko.

Udało mi się zapewnić — mimo tłoku — dobre miejsce dla nas obu w II klasie przy oknie. Według planu MOB-u rząd miał być ewa-

kuowany do Lublina, a urzędnicy w najbliższe sąsiedztwo miasta. Jednakże wskutek błyskawicznej zmiany sytuacji na frontach pociąg praktycznie podązał w nieznaną. Minęliśmy Siedlce, Brześć Litewski, Chełm, Równe, Kowel, Zdołbunów. Kierownik pociągu na każdej z tych stacji otrzymywał wskazówki, gdzie i którędy ma jechać dalej. Był zmobilizowany. Toteż osłaniał się przed nami „ścisłą tajemnicą wojskową” i nic z niej nie chciał uronić. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było jednocześnie tragiczne. Albowiem z rozgłośni niemieckich podsłuchiwanym na poszczególnych stacjach można było dokładnie ustalić kolejne etapy naszej trasy. Wywiad niemiecki działał niestety znakomicie.

W czasie podróży pociąg ze trzy razy był bombardowany. Gdy samoloty dojrzano na trasie lub gdy kierownik pociągu otrzymywał wiadomość radiową, parowóz zatrzymywał się i gwizdem dawał sygnał do opuszczenia wagonów. Zgodnie z instrukcją obrony przeciwlotniczej pasażerowie rozbiegali się na wszystkie strony i — byle jak najdalej od torów — kryli się w każdej rozpadlinie terenu.

Boya nie mogłem namówić do opuszczenia wagonu, z kolei ja sam uważałem, że nie mam prawa odbiec go w niebezpieczeństwie. Tak więc siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Było nieprzyjemnie, gdy przy każdym podmuchu bliskiej bomby słyszało się wibrację szyb i postękiwanie drewnianych wiązań wagonów.

Zapytuję Boya z udanym spokojem:

— Dlaczego opuścił Pan Warszawę, jeżeli nie lęka się śmierci?

— Nie boję się śmierci — odpowiada Boy — chciałbym tylko uniknąć, aby przed śmiercią nie znęcano się nade mną i nie tarzano w błocie mej godności ludzkiej.

Niestety, Boy nie miał się z tym losem rozminąć w stosunkowo niedalekiej przyszłości.

Po dłuższej chwili Boy dodaje:

— Fakt, że człowiek jak nędzny robak musi się wkręcać w ziemię dla ratowania życia — to jedna z przejmujących obrzydliwości tej wojny. Przeciw temu się bronię.

Nie wracajmy więcej do tego tematu.

Na nasze szczęście samoloty pospieszyły gdzieś na wschód. Nigdy przy tym nie wracają, bombardują nasz pociąg jakby okazyjnie, jakby oszczędzając bomb na ważniejsze cele. Nie ostrzeliwiają wagonów także z broni maszynowej, co mogłoby się skończyć tragicznie dla samotnych pasażerów opustoszałego pociągu.

W czasie postoju w Chełmie mila niespodzianka. Wśród nocy wywołują Boya do okna. Na peronie czeka na niego pani Zofia. Pociąg ma ruszyć lada chwila, więc rozmowa trwa krótko. Jak się później dowiedziałem, małżonkowie uzgadniają, że będą się starali spotkać we Lwowie. Zamieszkują tam profesorstwo Grekowie. Żona profesora Greka, Maryla z Pareńskich, uroczą i piękną panią, jest rodzoną siostrą pani Zofii, kobiety cichej, skromnej, ale wyjątkowo mądrej i pełnej swego wdzięku. Obie uwiecznił Wyspiański w „Weselu”.

Ostatecznie po 48-godzinach podróży pociąg zatrzymuje się w Dubnie, pośrodku trzeciej nocy, którą musimy spędzić w pociągu, głodni i śmiertelnie znużeni.

To oznacza na razie kres naszej wędrówki. Dowiadujemy się, że centralne władze, a więc Prezydent i rząd, osiedliły się w pobliskim Łucku. Nazajutrz będę pisał projekt dekretu przenoszącego na czas wojny siedzibę władz centralnych z Warszawy do Łucka. Projekt ten podobno został uchwalony przez rząd, ale dalszy przebieg wojny uczynił go bezprzedmiotowym.

Na dworcu przyjmuje nas kulturalny i inteligentny starosta, którego nazwiska nie pamiętam. Dostarcza nam listę prywatnych kwater, które mają obowiązek przyjąć uchodźców.

Starosta dysponuje też miejscami w jedynym hotelu. Ma jednak wolne tylko jedno łóżko w dwuosobowym pokoju. Wypraszam je dla Boya. Uzgadniamy, że odszukam go w hotelu nazajutrz po południu. Starosta odwozi zaraz Boya na miejsce własnym autem. Na szczęście. Z pociągu bowiem wysypuje się przeszło 320 osób: wielu urzędników zabrało ze sobą rodziny. Teraz godzinami czekają na peronie na przydział kwater i środków transportu. A Boy liczy sobie już 65 lat; ponadto dwa dni i trzy noce, spędzone w zatłoczonym wagonie, wyraźnie wyostrzyły mu rysy.

Nazajutrz w dniu 8 września 1939 r. dowiaduję się, że Boy razem ze swym współtowarzyszem noclegu wyjechali wczesnym rankiem do Lwowa ostatnim pociągiem, który tam odchodził.

Losy Boya we Lwowie są znane.

*

Tragedię jego śmierci miałem przyzywać jeszcze raz w 1950 r., gdy pani Zofia Żeleńska i Stanisław Żeleński, syn Boya, znany aktor warszawski, powierzyli mi, już jako adwokatowi, sprawę o stwierdzenie praw do spadku po Boyu, co musiało być poprzedzone sądowym ustaleniem jego śmierci. W odpowiednim piśmie do sądu powołałem się na to, że okoliczności śmierci Boya są notorycznie znane. Przedstawiłem nadto wycinek prasowy ze streszczeniem przemówienia jednego z prokuratorów radzieckich na procesie norymberskim, w którym wymienił on wśród pomordowanych profesorów Uniwersytetu Lwowskiego imieniem Tadeusza Żeleńskiego-Boya.

Młodziutki i sympatyczny, lecz niedoświadczony asesor sądowy, uznał moje wywody za nieprzekonywające i zaproponował uznanie Boya za zaginionego.

Zgłosiłem grzeczny, ale energiczny sprzeciw.

— Byłoby śmieszne — mówiłem — gdybyśmy dzisiaj w prasie dali ogłoszenie poszukujące Boya, o którym wszyscy wiedzą, gdzie i kto go zamordował. Ponadto uznanie go za zaginionego to ciężki błąd polityczny, zawieszający znak pytania nad niewątpliwą zbrodnią hitlerowską.

Asesor ostatecznie zgodził się ze mną, lecz kategorycznie żądał bezpośredniego dowodu zgonu Boya.

Na szczęście pani Zofia dysponuje adresem gospodyni państwa Greków, która osiedliła się w Gdańsku. Za naszą sprawą zgłosiła się ona w sądzie i złożyła obszernie zeznania. Mówiła o najściu pod wieczór gestapowców na mieszkanie Greków, o tym, jak uprowadzono Boya, a po jakiejś godzinie powrócono po Marylę Grekową. Świadek pobięła za

nimi na miejsce przysiężnej kaźni. Zza ogrodzenia słyszała i widziała, jak młody komendant placówki gestapo w pizamie wydał swoim podkomendnym złowróżebne polecenia, słyszała ryk motoru, który miał prawdopodobnie zagłuszyć przysiężne strzały. Samej egzekucji nie widziała. Przepłoszona, wróciła do domu, aby nazajutrz o świcie sprawdzić, co się stało. Nie widziała zwłok, ale dostrzegła ułożoną oddzielnie odzież, którą skazańcy musieli przed śmiercią porządnie poskładać przed sobą. Wśród nich rozpoznała ubranie, a zwłaszcza charakterystyczny krawat Boya.

Zeznanie świadka streszczam z odległej pamięci. Sąd uznał je za wystarczające. Dla mnie nie stanowiło ono nowości. Chyba tylko odświeżyło żal, ból i gniew, towarzyszące mi bez przerwy w czasie hitlerowskiej ciemni, która pochłonęła w sposób bezsensowny tyle istot ludzkich, wśród nich wielu z moich bliskich i najbliższych. Do bliskich zaliczam też Boya.

P.S. Uważam, że akta sprawy o stwierdzenie zgonu Boya-Zeleńskiego powinny być zabezpieczone przez Główną Komisję do Badania Zbrodni Hitlerowskich. Jak się dowiaduję, encyklopedie literackie — tak niemieckie jak austriackie — podają następującą wersję śmierci Boya: „Boy Zeleński wyemigrował (?) w 1939 r. do sowieckiego (?) Lwowa. Tu po wkroczeniu wojsk niemieckich został on zamordowany przez »nieznanych przeciwników politycznych«”.

Wersję tę należałoby chyba urzędowo zdementować na podstawie cyt. akt zgonu.

K.B.

LESZEK SŁUGOCKI

Czy Stendhal w „Czerwonym i czarnym” popełnił błąd natury prawnej?

W rozdziale pt. „Smutne szczegóły” powieści Stendhala „Czerwone i czarne” mowa jest o nie istniejącym we francuskim kodeksie karnym z 1810 r. artykule 1342. Autor przedstawia próbę wyjaśnienia genezy tej pomyłki, będącej w rzeczywistości błędem drukarskim lub korektorskim i tym samym nie obciążającej autora. Jest to pierwsza próba wyjaśnienia tego problemu.

W ostatnim czasie ukazało się u nas nowe wydanie sławnej powieści Stendhala *Czerwone i czarne* w imponującym — jak na nasze stosunki — nakładzie 100 tys. egzemplarzy¹. Bohater powieści, Julian Sorel, zostaje skazany na śmierć i zgilotynowany. Pierwowzorem Juliana Sorela był dla Stendhala, jak wiadomo, Antoine Berthet, skazany na śmierć w 1827 r. na podstawie art. 302 kodeksu karnego z 1810 r.² Tymczasem w drukowanym tekście książki znajdujemy przy określeniu przepisu, pod który miał być podciągnięty czyn J. Sorela... art. 1342³. Odpowiedni ustęp w powieści brzmi, jak następuje:

¹ Książka ukazała się w sprzedaży na początku maja 1973 r. Nakład jej jest już wyczerpany.

² Por. moje omówienie książki René Fonville'a: *Le véritable Julien Sorel* („Palestra” nr 3 z 1973 r.).

³ Wydanie polskie z 1973 r., t. II, str. 272.